

## 22 - 23 Września 2007, Orzyc: Drażdżewo – Maków Mazowiecki, 46 km.

### Spływ zaległy

Spływ ten był zaległy z uwagi na fakt, że mimo iż blisko od domu, rzeką Orzyc nie było mi dane wcześniej płynąć. Od Makowa Mazowieckiego do ujścia do Narwi płynęła większość kolegów i koleżanek z Garaż Marymont, odcinek od Podosia do Makowa płynął Otulinowiec Benek, a mnie ciągle było tam nie po drodze. Leszek płynął odcinek od Makowa i jakoś specjalnie mnie swoimi wrażeniami nie zachęcał, relacja Benka była znacznie ciekawsza, celownik od razu ustawiliśmy na Orzyc powyżej Makowa. Pytanie tylko, czy środkowy, czy może górny spływalny, czyli np. od Chorzeli<sup>1</sup>, ostatecznie postanowiliśmy wystartować od Drażdżewa, czyli ok.46 km do Makowa i 70 km do ujścia. Wybraliśmy się z Leszkiem na dwa dni, niemal rzutem na taśmę postanowił się do nas przyłączyć Robson na samą niedzielę. Z mapy wynikało, że połowa naszej trasy wypada przy moście w Podosiu, za którym postanowiliśmy znaleźć biwak, tak żeby Robson miał po co przyjeżdżać i mógł nas dogonić wkrótce po wodowaniu w Podosiu. Dodatkowo Maków Mazowiecki, to rodzinne strony Robsona, dobrze mu znane, co nam ułatwiło planowanie i dzięki Robertowi i jego wujowi także logistykę. Pojechaliliśmy z Leszkiem w sobotni rano przez Serock i swoje odcierpieliśmy w strasznym korku, działkowicze i grzybiarze rzucili się zmasowanym szturmem na konsumpcję tego pięknie zapowiadającego się weekendu. Zajechawszy do Drażdżewa okazało się, że most i mocno zarośnięta rzeka w tym miejscu nie były zbyt przyjazne do pakowania i wodowania, troszkę nam zeszło na szukaniu dogodnego miejsca. Ostatecznie wodowaliśmy za otwartą zastawką w tyłach zabytkowego kościoła. Zwodowaliśmy w samo południe i z jedną, 30 minutową przerwą po drodze dopłynęliśmy do mostu w Podosiu na godzinę 16. Jakoś tak nam się szybko płynęło, 23 km w 3,5 godziny to chyba bezpośredni efekt ostatnio spływanej „KiM-owej” Wisły. Pomogło nam też to, że pierwszy odcinek rzeki do Krasnosielca okazał się być zupełnie nieciekawym, zarośniętym, płynącym i lekko meandrującym kanałem, z wysokimi, zarośniętymi trzcinami i zieliskiem brzegami, bez przeszkód ale i bez ciekawych krajobrazów, nie zachęcający do fotografowania ani do sielankowania. Faktem jest także i to, że Leszek w tym sezonie mocno się rozkręcił i nadaje szybkie tempo, a i ja miałem ochotę na wczesny biwak, na wygrzanie się w zachodzącym słońcu i na biwakowe czynności za dnia. Od mostu w Podosiu płynęliśmy już całkiem na liścia studiując mapę i uważnie obserwując mijane brzegi, tak żeby znaleźć przyjazne nam miejsce na nocleg i żeby Robert miał szansę dobić do nas na poranną kawę. W pewnym momencie odezwał się żuraw, a my niemal jednocześnie wypowiedzieliśmy, że stajemy gdzieś tu i teraz. Po bobrowej ścieżce wdrapaliśmy się na 1,5 metra wysoki brzeg i rozbiliśmy się na skraju ostatni raz w tym roku koszonej łąki, odgarniając wcześniej czekające na zebranie siano. Po chwili pojawił się gospodarz łąki z rodziną i zaczęli zbierać siano około 100 metrów od nas. Podszedłem, zapytałem, uzyskałem nawet zgodę na ognisko. Na kolację był prawdziwy makaron z ogniska z duszonymi warzywami i podsmażoną kiełbaską, troszkę lepiej niż na większości weekendowych męskich spływów, ot taka moja inicjatywa z okazji zapowiadanej ładnej pogody i już odczuwalnie dłuższych wieczorów. Wieczorem mieliśmy przyjemność odbioru puszczańskich głosów a słuchaliśmy głównie głosów żurawi i kozłów saren, były też bobrowe pluski. Naprawdę była to dźwiękowa multiprzestrzeń, polecam zajawkę na: <http://www.kolo-lowieckie-zubr.com.pl/glosy.html> oraz <http://kola.lowiecki.pl/ao/glos.htm>). Po chłodnej nocy nastął piękny poranek, Roberta spodziewaliśmy się koło godziny 10, więc mieliśmy sporo czasu na suszenie po rosie namiotów, na pakowanie i śniadanie, na które załapał się także Robert, wypłynęliśmy o 11. Znajdowaliśmy się na skraju Wysoczyzny Ciechanowskiej, zatem rzeka słusznie wiła się między

---

<sup>1</sup> Orzyc jest dosyć długą rzeką, najpierw bowiem płynie na północ, a dopiero od Janowa skręca na wschód, by w końcu przyjąć kierunek południowy.

wysokimi skarpami cały czas ciesząc nasze oczy swym puszczańskim charakterem. I te kolory wczesnej w tym roku jesieni, już buchają, już cieszą. Do ujścia rzeczki Węgierki było bardzo ładnie, przed samym Makowem skończył się las, skończyły się skarpy i nieliczne naturalne przeszkody; skończył się też najciekawszy odcinek rzeki. O godzinie 16.30, dołynęliśmy do Makowa, gdzie wylądowaliśmy w starorzeczu, kilkaset metrów przed mostem w pobliżu posiadłości robertowego wujka. Tego dnia przepłynęliśmy ok. 22 km w 5,5 godziny spokojnego wiosłowania, z dwiema 30 minutowymi przerwami. Wyjazd, dzięki temu, że blisko i dzięki pomocy Roberta był wyjątkowo tani, co w zderzeniu z nieoczekiwanie dziką i urokliwą rzeką okazał się być atrakcyjny. Jedyne odcinek rzeki między Drażdżewem a Krasnosielcem jest tak nieciekawym, że aż go sobie zapamiętam, jako wzór, jak bardzo rzeka może być nieciekawa ;-). Od Krasnosielca można już płynąć, a od Podosia, w szczególności do Młodzianowa jest bardzo urokliwie, polecam.

Jesień, wczesna jesień, to było widać i słyszeć; mamy już jesień!

Maczek, 3.10.2007